

TAJEMNICE GROBÓW I KURHANÓW

Rozdział I

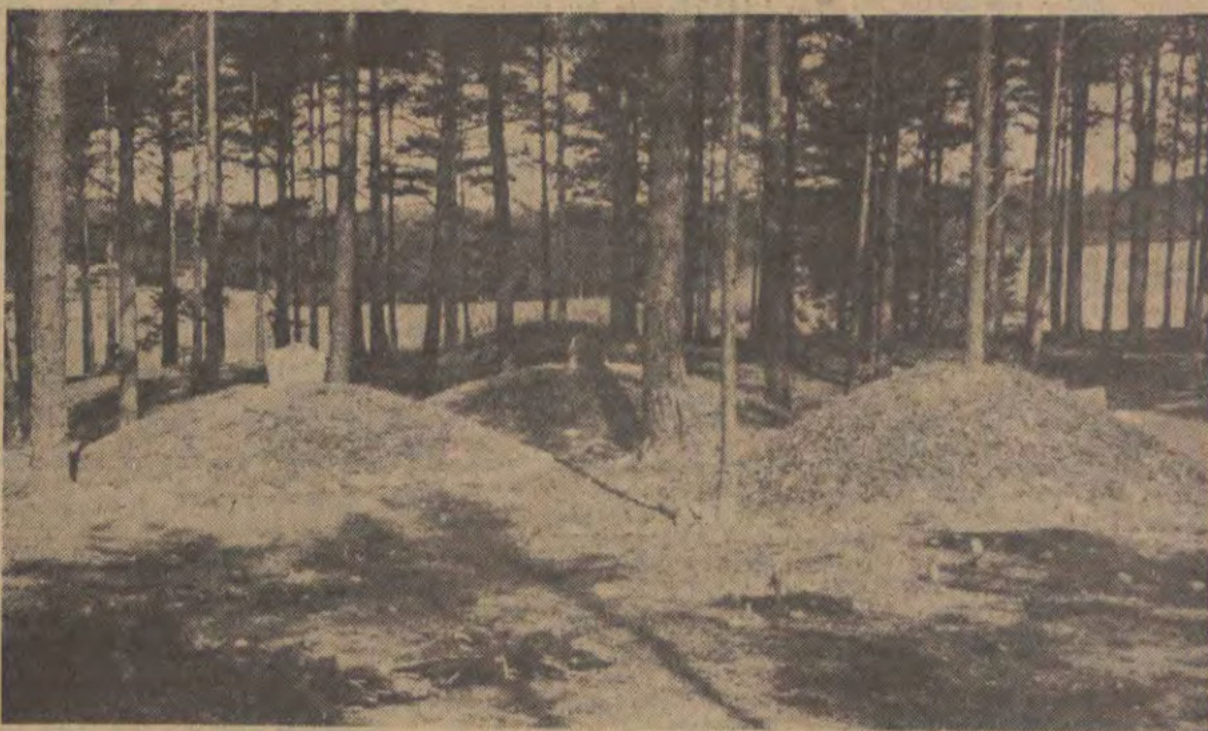
— Magiczny krąg. — Cmentarzysko. — Jęk. — „Kusk za zymno”. Kultura Słowian czy „Wandiliów” lub Bastarnów? — Ostgermanen i Ostdeutschland.

„Przyjechałem tam wieczorem. I może dlatego tak od razu przeniknął mnie ów przedziwny i trochę niesamowity nastrój starego cmentarzyska. Odtąd prawie przez dwa tygodnie towarzyszył mi on na stoku wzgórza nad jeziorem. Długie — wśród ogromnych, kamiennych „kręgów magicznych”, grobów pokrytych kamiennym nasypem, resztek szkieletów ludzkich przyozdobionych w bransolety i naszyjniki.

Przypotowano dla mnie malutki mamelot o kilka kroków od jeziora, na samym skraju niewielkiego obozowiska łódzkich archeologów. Gdy próbowałem zasnąć jak liszka wciągnięty w miękką kokon śpiwora — zbudziło mnie jak gdyby sapanie ogromnego miechu na jeziorze. Potem usłyszałem długi, przeciągły jęk od strony kurhanów. Ktoś krzyknął groźnie. Nastąpiła cisza, kołysana jednostajnym pluskiem fal jeziora. Zasną-

łem twardo, bez snów. Przydał mi się ten pokrzepiający wypoczynek przed dniami wypełnionymi cierpliwym deptaniem pięt wymykającej się wciąż tajemnicy.

„Dwie godziny wcześniej siedziałem w sopockiej kawiarni zdobnej w nowoczesne tasytowskie malunki. Autobus Gdańsk — Kartuzi — Bytów przeniósł mnie nagle jakby do zupełnie innej krainy. Jadący wraz ze mną ludzie rozmawiali w języku, który zdawał mi się być znajomy i bliiski jak moja własna mowa, a przecież z początku trudno mi było zrozumieć choćby jedno słowo. Potrzebowałem pewnego czasu, aby nawyknąć do kaszubskiego dialektu i wiedzieć, że „tysek” to pies, „wagle” — to węgle, „gork” — garnek, „checz” — chałta, „skorupcz” — skorupy, „syczira” — to siekiera, „reczi” — to raki, a „kusk za zymno” — znaczy „trochę za zimno”...



Na stoku wzgórza porośniętego lasem znajdują się nieduże kamienne pagórki, niekiedy zakończone podługowatym głazem. To kurhany kryjące zagadki i tajemnice — szkielety z pięknymi ozdobami z brązu. Kurhany te rozkopuje i bada ekspedycja archeologiczna Uniwersytetu Łódzkiego.



Kurhan został odkopany. Ukazały się dwie jamy grobowe. Trzeba narysować ich dokładny kształt, zanim przystąpi się do ich „eksplorowania”, ostrożnego wydobywania zawartości poszczególnych grobów.



Archeologia kojarzy się wielu ludziom z kopaniem, ze zwałami wydobytych i przerzuconej ziemi. A przecież więcej niż kopania jest chyba w pracy archeologa... rysowania i misternego dłubania. Każdy kamyczek na kurhanie musi być dokładnie oczyszczony pędzikiem i narysowany, a to praca żmudna, Mozoli się właśnie przy „pędzlowaniu” A. Dmochowski, student Zakładu Archeologii UL.

Już od Kartuz szosa mknie zakrętami po stromiznach wzgórz, widać całe piękno „Szwajcarii Kaszubskiej” — pagórki pokryte lasem lub wrzosowiskiem, w dole zaś kręte i długie jeziora związane niekiedy wąskimi przesmykami. Ziemia tu uboga, piasek, żwir i kamień. Duże polacie pól „odpoczywających”, widomy ślad trójpółowki. Trzeba mieć dużo tej jałowej ziemi, aby móc jako tako z niej wyżyć, gospodarować. Częściej niż duże wsie tak charakterystyczne np. dla naszego łowickiego — spotyka się tu małe sadzby złożone z dwóch lub trzech zagrod. Ludzie żyją w odosobnieniu, nieustannie walcząc z nieżyczliwą przyrodą. Wydają się uczciwi, szczerzy, lepsi i szlachetniejsi niż w innych, znanych mi dzielnicach Polski.

Odmienny krajobraz, odmienny dialekt. Mimo szos i kolei żelaznych łączących wschodnie Pomorze z resztą Polski — widać tu wyraźnie odrębność tego regionu, jego własny koloryt i własny styl. Miało Pomorze ten styl własny i przed setkami lat; to on podniecał żarłoczne apetyty szowinistów niemieckich, i — nie ludzmy się — podnleca je wciąż tak samo silnie.



Archeologów wyobrażamy sobie zazwyczaj jako rozlgniętych, zdziwaczalych naukowców grzebiących się w dawno zamierzonych czasach. To wyobrażenie nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Spójrzcie zresztą na zdjęcie: oto studentka Zakładu Archeologii, młoda i ładna dziewczyna.



Oto najwspanialsza chwila w życiu każdego archeologa. Ta chwila — a przeżył ją i autor niniejszego reportażu — oplaca sówicie wszystkie trudy. W jamie grobowej, między szczątkami kości kobiety pochowanej tu przed 1800 laty znalazła się piękna bransoletka z brązu. Jakież wspaniałe przeżycie miała owa zmarła okryta kurhanem...

Dokończenie na



6

odgłosy

str. 5

TAJEMNICE GROBÓW I KURHANÓW

(Ciąg dalszy ze str. 5)

Rozdział II

Lódź ciągnie ku wodzie. — Zagadka kamiennych kręgów. — Niefortunne badania dr Lissauera. — Astronomiczna teoria mierniczego Stephana.

Archeolodzy wyróżniają już w V okresie epoki brązu, a więc na 900—700 lat przed naszą erą odrębny rozwój „grupy kaszubskiej” kultury lużyckiej, uznawanej ogólnie za prasłowiańską. Potem, w ciągu wczesnego okresu żelaznego (w tzw. okresie halstaackim), a więc 700—400 lat przed Chr. „grupa kaszubska” wyodrębniła się do tego stopnia, że otrzymuje nazwę „kultury pomorskiej”, która zachowując swe zasadnicze podobieństwo do rdziennej macierzystej kultury lużyckiej, ma jednak swe własne indywidualne piętno. Ciekawą cechą wyróżniającą tę kulturę są między innymi tzw. „urny twarzowe”, urny z wyobrażonym naturalistycznie lub schematycznie portretem nieboszczyka. Pod koniec okresu halstaackiego archeolodzy zauważają silną ekspansję „kultury pomorskiej”, zalewającej Wielkopolskę, północny skraj Dolnego Śląska, Kujawy, Ziemię Chełmińską oraz część Mazowsza. Trudno jednak dziś wyrazić powiedzieć czy mamy w tym wypadku do czynienia z ekspansją idei, mody i stylu pomorskiego, czy też z najazdem mieszkanców Pomorza na sąsiednie plemiona prasłowiańskie.

Szwajcarscy niemieccy uczeni w ślad za ich czołowym teoretykiem Kossinną — przypisują „kulturę pomorską” nie Słowianom, lecz bliżej nieokreślonym germańskim „Wandilom”, dostrzegając w ekspansji tej kultury na dalsze ziemie słowiańskie zwycięski najazd Germanów. Inni uczeni niemieccy — idąc za zdaniem Niedlergo — skłonni byli identyfikować „kulturę pomorską” z Bastarnami. Trzeba było kapitalnych odkryć i polemik „ojca” polskiej archeologii — prof. Józefa Kostrzewskiego, a także lódzkiego archeologa, prof. Konrada Jądzewskiego, aby obalili teorię niemieckie, wykazując słowiański charakter „kultury pomorskiej”.

O, to nie była sprawa, czy na Pomorzu mieszkali Ostgermanie czy też Słowianie Wenedzi. Nie na próżno Hitler tyle pieniędzyłożył na badania archeologiczne, na przepiękne archeologiczne wydawnictwa. Za teorią o Ostgermanach na Pomorzu wkroczyli czołgi najazdów niemieckich w hitlerowskich mundurach, mapy archeologów zaznaczające na Pomorzu tereny zamieszkałe przez Ostgermanów posłużyły do nowych map, na których napisano „Ostdeutschland”, zaś ludność kaszubską hurtem uznano za Niemców. I dziś jeszcze nie wolno lekceważyć tej sprawy, skoro w 1953 roku w poważnym zachodniopomorskim czasopiśmie „Saeculum”, uczony Ernst Schwarz pisał o pobytych drużyn gockich nad dolną Wisłą ani razu nie wspomina o Słowianach, używa ciągle terminu „Ostdeutschland” i „niemieckie wybrzeże Bałtyku”.

„Kością niezgody”, jak już wspominałem, jest odrębność, lokalny koloryt kultury pomorskiej. Pomorzan dzielili od reszty ich pobratymców potężne bagna warciańsko-noteckie oraz puszcza Tucholska. Ta bariera powodowała wyodrębnienie się Pomorza z kręgu kulturowego zwanego lużyckim. Dzieliły bagna i puszcze, ale łączyły szlaki komunikacyjne, jakimi były rzeki Wisła i Odra. Z drugiej jednak strony — obecność morza, które nie było przeszkodą komunikacyjną, lecz przeciwnie — doskonałą drogą, „pontus”, jak pisali starożytni — ułatwiała Pomorzu kontakty ze Skandynawią i podawała jej pod wpływy wysoko rozwiniętego przemysłu metalowego germańskiego, a raczej nordyckiego.

Te wszystkie czynniki zadecydowały, że powstała na Pomorzu specyficzna kultura, słowiańska, lecz nosząca w sobie elementy nordyjskie.

Wpływy germańskie na Pomorze istniały i w wiekach późniejszych. Niemcy tepili wśród Kaszubów wszystko co słowiańskie, co polskie. Kaszub mówi dziś nie „tak”, lecz „jo” — niemie. „ja”. Ale jakże podobnie brzmi choćby słowa rotty w kaszubskim dialekcie:

„Nie bandzie Niemiec pluł nam w gębę...”

Zartując można by rzec: porzucił wódę Lódź, nasz zadymiony kominogród — ciągnie ku wodzie. Lódzcy naukowcy od kilku lat prowadzą Stację Archeologiczną w Gdańsku, Rada Narodowa m. Łodzi próbuje przylączyć do Łodzi Słupsk, mgr Jerzy Kmieciński, adiunkt Zakładu Archeologii Polski Uniwersytetu Łódzkiego, rokrocznie od trzech lat organizuje ekspedycje badawcze do Węsior w pow. Kartuszy na Pomorzu Wschodnim. Lódź ciągnie ku wodzie.

„Na dość stronnym wzniesieniu morenowym, w sosnowym lasu obok jeziora Długie — rozpociera się cmentarzysko pełne zagadek i tajemnic. W lasu na wzgórzu — uderza w oczy widok sporych, regularnych kopców z kamienia obrysanego ziemią, z dużym, podługim głazem, tzw. stela, na szczycie. To kurhany, kamienne grobowce.

W pobliżu kurhanów — „kręgi kamiennne”. Na otwartej kolo o średnicy 14—20 metrów, ustawione są co 2,5—3 m gładkie kamienie wysokie na metr albo półtora, podługne i zwężające się ku górze. Pośrodku kręgu stoi jeden, a czasem trzy kamienie, stela; stela środkowa jest zawsze większa niż pozostałe.

O, umiętą one strzec swej zagadki. Zabawnego figla wypłatały kręgi w Odrach, w pow. Chojnice w woj. bydgoskim — gdańskiemu archeologowi, dr Lissauerowi, który w 1874 roku spróbował posiąść ich tajemnicę.

Zaintrygowany zagadką dr Lissauer zabrał się do rozkopania części środkowej szeregu kręgów, przy czym — jak zaznacza prof. Kostrzewski — nie obezła się bez przewrócenia wielkiej części kamieni tworzących kręgi. Lissauer odkrył „jamy grobowo-popielnicowe z kośćmi spalonymi. Jedną z popielnic zdobioną była głęboko rytymi kreskami, obok innej słabo wypalonej urny leżał podobno niewykończony grobek kamienny. Na fakcie znalezienia tego grobka oraz kilku innych zabytków z epoki kamienia, ale znalezionych już poza kręgami — oparł Lissauer przypuszczenie, że kręgi kamienne w Odrach pochodzą z młodziej epoki kamiennej, a więc 2500—1700 lat przed naszą erą.

I określenie to przyjęli bezkrytycznie wszyscy następnii badacze

od Hierschfelda aż do Kossinny i polskiego uczonego, Kozłowskiego.

W 1926 roku prof. Kostrzewski zbadał dokładnie kręgi kamienne w Odrach i jak pisał: „W poszukiwaniach naszych nie znaleźliśmy najmniejszego śladu zabytków z epoki kamiennej, natomiast bardzo liczne i częściowo bardzo piękne wykopiska z okresu rzymskiego, a więc z 0—375 r. naszej ery”.

2500 lat przed n. e., czy powiedzmy 150 lat n. e. — przyznajecie chyba, że to znowu nie taka mała różnica?

Ale na błędnej hipotezie oparł w 1914 r. swą „teorię astronomiczną” miernik rządowy p. Stephan z Poznania. Uznał on kręgi kamienne za zabytki o charakterze astronomicznym, wnioskując ze swego spostrzeżenia, że linie łączące kamienie środkowe kilku kół dają w przedłużeniu punkty na horyzoncie, w których wschodzi słońce w najkrótszym i najdłuższym dniu w roku (22 czerwca i 21 grudnia). Oddzielne kręgi uważał Stephan za rodzaj kalendarza prehistorycznego. Kombinacje Stephana zakładały zresztą dość skomplikowane obliczenia astronomiczne, które możliwe były np. w ówczesnym, kulturalnym Egipcie, gdzie wiedza o gwiazdach i ich ruchu była bardzo daleko posunięta — ale zupełnie obca prymitywnym ludom zamieszkującym Pomorze w epoce kamiennej.

Znamy już czas, w którym zbudowano kręgi kamienne. Powstały one w okresie tzw. rzymskim, w latach 0—375 n. ery. Któż jednak był ich budowniczym? Do jakich celów służyły?

Na 100 lat przed n. e. rozwija się w naszej praoczyźnie „kultura grobów jamowych”, będąca jakby pewnego rodzaju kontynuacją poprzedniej słowiańskiej kultury lużyckiej. W ramach „kultury grobów jamowych” na Pomorzu istnieją „grupa oksywska” tej kultury, posiadająca znowu swe lokalne, indywidualne piętno. Ludowi tej kultury i grupy nie znany jest jednak zwyczaj budowania kręgów kamiennych i kurhanów ze stelami. Nie wśród ówczesnych Pomorzan należy więc szukać twórców cmentarzyska w Węsiorach. Lecz gdzie?...

Rozdział III

Wewnątrz tajemniczego kręgu. — Szkielet na dnie kurhanu. — Kto cenil kobiety? — I znowu jęk...

Rozpoczęto w Węsiorach rozkopanie kręgu kamiennego. Wewnątrz znaleziono dwie głębokie jamy symetrycznie rozmieszczone na średnicy koła; ziemia w nich była ciemnobrunatna, przepalona. Na całej wewnętrznej przestrzeni kręgu odkryto rozlane gęsto drobne utamki ceramiki, naczynia z II wieku n. e. Czyżby więc w owych kręgach odbywały się jakieś uroczystości? Zdać się o tym świadczyły ślady palonych ognisk i owe polamane naczynia (rozbijanie naczyń to bowiem często wyraz obrzędów religijnych).

„Zaczęto badać kurhan, dość duży, bo posiadający około 6 metrów średnicy. Pod warstwą ziemi ukazał się bruk kamienny, u podstawy zaznaczony kołem obwodowym z niedużych, 20-centymetrowych kamieni. Pod brukiem na głębokości 189 cm uwidocznił się zarys jamy grobowej. Ostrożnie, małutkimi szufelkami odrzucano ziemię z jamy... Wreszcie zobaczyliśmy szkielet słabo zachowany, tylko z wyraźniejszymi śladami kości długich nóg. W szczątkach substancji organicznej, prawdopodobnie resztkach tkaniny i kości — ozdoby kobiece. Ten wspaniały kurhan wzniesiony więc został nad zwłokami kobiety.

„Oto szpila wpięta ogłą we włosy. Na wysokości piersi trzy brązowe fibule czyli agrafy; dwie z nich rozmieszczone na ramio-

nach kobiety przytrzymywały sznur naszyjnika, na który naniżane były dwa paciorki z krwawnika i piękny wisiołek srebrny z filigranem i granulacją. Trzecia fibula spiniała szatę pośrodku piersi. Na palcu lewej ręki znajdował się pierścionek z brązu z opaską srebrną. Na prawym przedramieniu tkwiły bransolety brązowe ze sztabki ośmiołukowej, z nieco zgrubiałymi końcami. W talii obejmował kobietę pas, z którego pozostała duża, żelazna sprzączka oraz związający nożyk umieszczony na jej lewym boku.

W odkrytych dotąd w Węsiorach grobach męskich zauważono bardzo skąpe wyposażenie. Tylko groby kobiece są tu z reguły bogate w różnego rodzaju ozdoby. Jakież to lud nad brzegami Bałtyku tak bardzo cenil kobiety, że groby ich wyposażał bogaciej niż mężczyźni, nad mogiłami kobiet spalał wspaniałe wielkie kurhany kamienne?

W nocy znowu usłyszałem groźny jęk od strony kurhanów. Nad ranem, poprzez cienką ścianę płotu namiotu, dobiegło mnie od strony jeziora jakby sapanie ogromnego miechu. Oto jeszcze jedna zagadka węgierskiego cmentarzyska.

(D. c. w następnym numerze) ZBIGNIEW NOWICKI

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ



O SKUTECZNYCH SPOSOBACH NA MIŁOŚĆ

Miłości! Nad naszymi pokaz
litość jęki,
A że będąc człowiekiem wieży
twoje noszę,
Spraw twoje bóle tak krótkie jak
są twoje rozkosze,
Lub rozkosze tak długie jak są
twoje męki

— pisał poeta wieku Oświecenia, znakomity wiersyfikator Stanisław Trembecki, dworzanin królewski, a na starość rezydent magnacki na łaskawym chlebie u Czartoryskich i Potockich.

Na „męki” miłosne czyli brak wzajemności uczuła stosował ludzkie XVII i XVIII wieku różne magiczne sposoby w postaci czarów i ziół. Tajemnicze zioła, zwane lubczykami, miały przyprowadzić o szaleństwo miłosne tę drugą osobę (jego lub ją), która nie odważała się zakochać. Sama nazwa tych ziół mówi o ich przeznaczeniu: „Nasięźzał”, „Pódzżamną”, „Prerzyzioło”, które miało posiadać moc rozrywania zamków u drzwi do sypialni ukochanej.

Niektóre zioła trzeba było zrywać o północy w stroju adamo-wym, gdyż jeśli zrywało się je za dnia lub w ubraniu, wówczas tracily moc działania czarów. Słynny długi korzeń Mandragory (który należało utrzymać na prosek i napażyć odwar) miał ponoć przy wy-ciąganiu go z ziemi pisać ludz-kim głosem.

Syrenius, autor „Zielnika” z 1613 roku opisuje ziele dzięgielnicę zwane też „lubzczą” — od lubości, którą niewiasty za używaniem korzenia jego mają do mężczyzny. Zowią go też pożądą, od żądze tychże do swych mężów”. Wierzone jednak nie tylko w zioła. Włos z głowy ukochanego, odpowiednio zaklęcia, kąpiel przed wchodem słońca, wszystko to miało przywracać i wzniecać w drugiej osobie utraconą miłość.

Praktyki te użyły w parze z niezwykłą, wyjątkową w porównaniu z innymi narodami europejskimi wstydliwością siedemnastowiecznych Polaków w „tych rzeczach”.

Szlacheckie towarzyszące królowi Władysławowi IV w podróży zagranicę do kapiełk niemieckich opisywał, że Niemki biorą kąpiele lecznicze razem z mężczyznami, a przyodziane są wtedy tylko w cienkie płótna, „czemby się nasze święte (świętości, uw. moja) gorszyły, ale to tam ujdzie”.

Słynny pamiętnikarz z czasów „Potopu” Imię Jan Chryzostom Pasek pisał w związku z pobytem w Danii tak interesująco o niewstydlivosti Dunek, a wstydlivosti Polek, że warto przy okazji przypomnieć parę zdań z jego Pamiętnika: „W afektach zaś nie są tak powściągliwe jako Polki, bo lubo zrazu jakąś niezwykłą pokazuje wstydlivość, ale zaś za jednym posiedzeniem i przymówieniem kilku słów zapamiętałe zakochają się i pokrywają ant umiętą: ojca i matki, posagu bogatego gotowusieńka odstąpić i jechać za tym, w kim się zakocha, choćby na kraj świata. Lódka do siąpienia mają w ścianach zasuwane tak jako szafa, a pościeli tam okrutnie siła ścielą, Nago sypiają, tak jako matka urodziła, i nie mają tego za żadną sromotę, rozdzierając się i ubierając jedno przy drugim, a nawet nie strzegą się i gościa, ale przy świecy zdejmują wszystkie ozdoby (ubranie — dod. mój); a na ostatku i koszule zdejmie i powiesza to wszystko na koleczkach, i dopiero tak nago drzwiczki pozamykawszy, świecę zagastwży, to dopiero w ową szafę wlaże spać. Kiedyśmy im mówili, że to tak szpetnie, u nas tego i żona przy mężu nie uczyni, powiedały, „tu u nas nie ma żad-

nej sromoty i nie rzecz jest wstydzic się za swoje własne członki, które Pan Bóg stworzył”. Na to zaś nagle siąpienie powiada, że „ma dosyć za swe koszula i in-szy ubiór, co mi służy przez dzień i okrywa mię; powinna też przy-najmniej w nocy mieć swoją o-chronę, a do tego co mi po tym robaki, pchły brzoć z sobą na noc-leg do łóżka i dać się im kąsać mając od nich w smaczny spa-niu przeszkodę”!

Nasi przodkowie dużo uwagi poświęcali higienie życia seksualnego. J. K. Haur, autor głośnej „Oeconomii Ziemiańskiej” z 1693 roku zalecał umiar w „tych rzeczach” pisząc, że: „...pomier-na społeczność naturę i żądzę ochla-dza, uzdrawia, czyści i uwesela, której mityguje, człowieka lekkie-go i dziarskiego sprawuje”.

Świętyni poeta z czasów Baroku Jan Andrzej Morszyn wysmiewał i lekarzy, i pacjentów zasię-gających porady w tych spra-wach. W śmiałej jak na XVII wiek fraszce pt. „Nie głupia” pisał:

Kiedy się lepiej zalecać, doktora
Pyta panna, z rana czy
z wieczora?
Doktor powiada: Lepiej to ostodź
Wieczór, lecz zdrowiu nie tak
rano szkodzi.
Uczynię, mów, według twego
zdania:
Wieczór dla smaku, dla zdrowia
z zarania.

Świat jak teraz, tak i w XVII wieku był jednak pełen sprzecz-ności. Obok więc zaleceń higieny stosowano też środki podniecające, różne meskolancje aptekar-skie, olejki, ingredience i odwa-ry, tzw. konfortatywy, które, jak podaje autor wspomnianego „Ziel-nika” Syrenius miały „do wenusu i skutku małżeńskiego pobudzać i potężnym czynić”. Ziele „mi-strzownik” na przykład posiadało takie cudowne właściwości, że „stare i osłabiałe do młodych żon potężne czyni, oziębłość w nich rozgrzewając”.

Zbigniew Kuchowicz, autor in-teresującej pracy „Z dziejów o-byczajów polskich” pisał, że het-man Stanisław Koniecpolski zmarł w parę tygodni po ślubie od kon-fortatywy, której nadużywał dla dogodzenia swojej młodej żonie, gdyż to, co mu aptekarz przepi-sywał na kilka razy, hetman na raz zajął. Trzeba jednak dodać, że pan Koniecpolski liczył sobie lat 55, podczas gdy jego żonka miała 20 wiosen.

Był też sposób... prawny na utrzymanie, a raczej — podrzy-manie miłości małżeńskiej. Odnosiło się to jednak przeważnie do chłopów w procesach, które toczyły się w sądach wiejskich w sprawach o złe pożyte małżeń-skie.

Sąd przeważnie nie wnikał w to, kto ponosi winę. Kara spa-dała na tego, kto opuścił dom lub wynął z niego małżonka. Wyroki tamtejsze z punktu wi-dzenia dzisiejszego wyglądają nie-rzad paradoksalnie. A więc żona po ucieczce od męża sadyści, któ-ry ją bił i katował narażała się na surową karę.

Sądy rozpatrywały również skargi na nieposłuszeństwo ze strony żon i wymierzały krnąbr-nej żonie serie plag. Czasem jed-nak stawał sąd na stanowisku, że mąż ponosi również winę, gdyż zwierchność małżeńskiej, gdzie trzeba, nie umie lub nie chce za-żywać, i wymierzał także plagi zbyt potulnemu małżonkowi.

Następny felieton będzie jeszcze też o „tych rzeczach”, a miano-wicie, jak w dawnej Polsce ka-rano za grzech przeciwko Szóstemu przykazaniu: „Nie cudzołóż!”.

MELODRAMAT

Początek reportażu
patrz numer
poprzedni (21)



Pociąg, którym zabiła została Rawska, wystrzelony został z pistoletu starego typu, prawdopodobnie niemieckiego kaliber 7,35. W Komendzie Głównej MO z pociskiem wystrzelonym z tego typu pistoletu jak dotąd nie miano do czynienia. Przeprowadzone badanie lekarskie i sekcja zwłok wykazały, że śmierć nastąpiła około godz. 23.30.

Okoliczności — głównie brak przy zamordowanej jej biżuterii i pieniędzy, wskazują, że tłem zbrodni mogła być chęć rabunku. Kto jednak wiedział o kosztownościach, jakie Rawska miała przy sobie? Kto wiedział o terminie jej przyjazdu? Dlaczego Rawska po przyjeździe nie poszła do domu, lecz wręcz w przeciwnym kierunku?

Kapitan Liczy, że przynajmniej na niektóre z tych pytań przywiezie odpowiedź por. Witkowski z Zakopanego.

Tymczasem wysiłki kapitana zmierzają w innym kierunku. Trzeba jak najlepiej poznać środowisko, w którym żyła Rawska, ustalić fakty opinia cieszyła się u ludzi? Kapitan uważa, że są w życiu każdego człowieka sprawy, które zaciśka on jak gdyby w niedostępny dla innych węzeł, które skrzętnie ukrywa, pilnie strzegąc dostępu do swych tajemnic. Sprawy takie muszą więc być również w życiu młodej, wyjątkowo poważnej, przystojnej inteligentnej i bogatej, a do tego — samotnej kobiety. Śledztwo nie przynosi jednak prawie żadnych rezultatów.

Rawska cieszyła się w mieście bardzo dobrą opinią. Uważana była za kobietę nieprzystępną. Kilka z przesłuchanych przyjaciółek stwierdziło co prawda, że Rawska była „łatwa”, „puszczalska”, ale wyglądało to raczej na zawziętą. Mężczyźni, którym w takich sprawach kapitan bardziej ufał, potwierdzili opinię o Rawskiej jako o kobiecie nieprzystępnej. Wyrażali nawet często zdziwienie, że taka młoda, ładna, a... Kapitan zdołał ustalić tylko, że dwa lata temu Rawska przeżyła jakąś tragedię miłosną. Próbowana wtedy popełnić samobójstwo. Chodziło o człowieka, który zresztą już rok temu wyjechał z kraju za granicę.

Dopiero po przyjeździe porucznika Witkowskiego wiele rzeczy stało się bardziej jasnych. Powstała nawet pewna bardzo wyraźna postać...

Na podstawie faktów można było już nawet zbudować hipotezę. — Oto Rawska telegrafuje do Zbigniewa Ranickiego zamieszkałego w P. (kilka kilometrów od miejscowości C.) z prośbą aby jej odcisnął. Skoro telegrafuje — zna ją się zapewne dobrze. Ranicki orientuje się więc, że Rawska ma przy sobie kosztowności. Po powrocie Rawskiej Ranicki proponuje jej spacer. Gdy są już na przedmieściu w okolicy mało uczęszczanej — strzela, rabuje...

MORDERCA?

Kpt. Biernacki jedzie do P. Ranicki jest 38-letnim mężczyzną. Wyjątkowo przystojny brunet, o lekko kędzierzawych niesfornych i przprószonych włosach. Lekkarz. Zamożny. Cieszy się bardzo dobrą opinią — człowieka uczciwego, poważnego, zrównoważonego...

Wzruszony na przesłuchanie — Ranicki twierdzi, że choć otrzymał depesze od Rawskiej nie pojechał do C., aby jej oczekiwać. Łączyły go z Rawską „kiedyś bliższe stosunki. Kilka tygodni temu, przed jej wyjazdem do Zakopanego, nastąpiło ostateczne zerwanie. Uważa Rawską za kobietę despotyczną, trudną do współży-

cia, która lubiła rozkochiwać w sobie mężczyzn, aby potem zwołać ich, dręczyć, zdradzać z innymi. Twierdzi, że Rawska wyznała mu kiedyś, że w ten sposób bierze odwet za własną tragedię jaką kiedyś przeżyła. Ranicki uważa się za człowieka, który doświadczył, aby w podobne niebezpieczne historie się wdawać. Twierdzi, że Rawska robiła mu sceny zazdrości o jakąś inną kobietę, której nazwiska nie chce wyjawiać. Dlatego postanowił nie oczekiwać Rawskiej na dworcu w C. Licząc się z możliwością, że Rawska może w tej sytuacji do niego zadzwonić, wołał wyjść o tej porze z mieszkania.

— Dokąd pan poszedł?
— Przejść się.
— Dokąd?
— Tak, lałem ulicami, a potem byłem w parku.
— Kto pana widział?
— Nikt.

— Pańe doktorze, przecież w tym mieście zna pana każde dziecko. Ktoś musiał pana mijać, ukłonić się. Niech pan sobie przypomni.

— O tej porze u nas w mieście jest już pusto. Nie, nikogo sobie nie przypominam.

— Będę wobec tego zmuszony zatrzymać pana do wyjaśnienia jako podejrzanego o zamordowanie Ireny Rawskiej.

Ranicki robi się bledy, zaczyna drżeć...

— Ależ ja, ale ja...

— Czy ma pan coś jeszcze do powiedzenia, co może wyjaśnić, gdzie przebywał pan między godziną 21.30 a 24 w dniu 22 marca?

Ranicki milczy.

Jeszcze tego samego dnia kpt. Biernacki otrzymuje od prokuratora nakaz aresztowania Zbigniewa Ranickiego oraz nakaz rewizji. Rewizja przynosi nową sensację. Dowód kręta Rawskiej. W kieszeni palta oficerowie znajdują bilet do C. z datą 22 marca. Wzwany na konfrontację kasjer biletowy rozpoznaje Ranickiego. Pamięta, że kilka dni temu pan doktor kupował bilet do C. Zna doktora dobrze, pamięta, że kłaniał mu się i zamienił z nim kilka słów. Przy kasie zupełnie nie było pasażerów. Czy Ranicki wsiadł do pociągu, tego kasjer oczywiście nie wie.

Teraz co kilka dni odbywają się przesłuchania Ranickiego. Twierdzi on uparcie, że nie ma ze sprawą nic wspólnego. Jednocześnie trwa porównywanie odcisków palców znalezionych na rzeczach zmarłej z odciskami palców mieszkanców zakopiańskiego pensjonatu. Odciski palców znalezione na rzeczach zmarłej nie odpowiadają odciskom palców Ranickiego. Ale to wcale nie świadczy o jego niewinności. Mogł tych rzeczy nie dotykać, mógł nosić rękawiczki. Specjalni oficerowie zbierają dane i opinie o ludziach, którzy w tym samym czasie co Rawska mieszkali w zakopiańskim pensjonacie. Sprawdzają czy kogoś spośród nich łączyły z Rawską bliższe stosunki. Chodzi szczególnie o te osoby, które opuściły pensjonat wcześniej niż Rawska, ewentualnie tego samego dnia. Jednocześnie wszystkie punkty komisowe i sklepy jubilerskie dostają możliwość jak najbardziej dokładny opis zrabowanej Rawskiej biżuterii.

Kapitana i porucznika męczy dziwne uczucie niepewności. Dowodzą dotąd zdobyte wydają się zbyt „pewne”, postępowanie podejrzanego Ranickiego zbyt jak na inteligenta kompromitujące. Przy tym oficerowie nie mogą doszukać się motywu zbrodni. Ranicki jest człowiekiem bogatym i rabunek jako myśl przewodnią zbrodni wydaje się w tym wypadku czymś dziwnym. Kapitan Biernacki i porucznik Witkowski mieli już w swej pracy do czynienia z bardzo dziwnymi przypadkami, gdzie tragiczny zbieg okoliczności rzucał podejrzenie na ludzi niewinnych. Czy i tym razem?

Po kilku tygodniach ponownie przesłuchany Ranicki twierdzi, że ośwsem. Początkowo miał zamiar jechać do C., był na dworcu, kupił bilet, ale w ostatniej

chwili rozmyślił się i nie pojechał.

— Więc może jednak ktoś pana potem widział na mieście? — pyta kapitan.

— Nie, nikt.

— Dlaczego w poprzednich zeznaniach nie powiedział pan, że był na dworcu, kupił bilet do C.?

— Nie sądziłem, że to może mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie chciałem nikogo wtajemniczać w swoje osobiste sprawy, w swoje rozterki...

— Proszę jednak zrozumieć, że stoł pan pod zarzutem morderstwa — tu chodzi o pańskie życie. Wszystko przemawia przeciw panu. Nie przytoczył pan nie wiarygodnego na swoją obronę.

W tym momencie wchodzi do pokoju por. Witkowski i kładzie przed kapitanem maleńką kwiatkę papieru. Kapitan szybko przebiega ją oczyma: „Przed chwilą zgłosiła się do mnie siostra Rawskiej — Anita Borakowska. Przed kilkunastoma minutami znalazła pod swymi drzwiami zawiniątko, w którym jest cała zrabowana Rawskiej biżuteria oraz kilkaset złotych. Technik zdejmuję już z tego odciski palców. Jadę rozpytać domowników czy nie widzieli kogoś kto mógłby to zawiniątko podrzucić. Witkowski”.

Ranicki nie wie, że w tej chwili zaszło w śledztwie bardzo ważne wydarzenie, które zmienić może zupełnie jego kierunek. Zawiniątko podrzucone wtedy, gdy Ranicki przebywał w areszcie jest dowodem, że albo ma współnika, albo jest niewinny. Na razie kapitan nie daje po sobie poznać, że zaszło coś ważnego. Wsuwa kartkę do szuflady i pytająco spogląda na Ranickiego, który jest bledy i bardzo znerwowany.

— Dobrze, będę mówił — odzywa się. — Te noc spędziłem u doktora Szykowskiej, której mąż wyjechał po ciężkiej chorobie na rekonwalescencję. Nie chciałem tego mówić. Powinnością to państwu zrozumieć, jakie wrażenie w małym miasteczku może taki fakt wywołać, tym bardziej, że jej mąż jest właśnie chory, a poza tym to mój przyjaciel...

— Czy ktoś widział pana wchodzącego lub wychodzącego od tej pani?

— Nie, nikt.

— Specjalnie uważałem, aby mnie nikt nie widział.

— Oczywiście sprawdzimy pańskie alibi.

Kapitan zdaje sobie jednak sprawę, że w momencie kiedy Ranicki przedstawił alibi, pojawił się już kontrargument. Szykowska może być właśnie współnikiem Ranickiego — to ona mogła podrzucić zawiniątko. Nie ma na to jednak żadnych dowodów. Mogł to zrobić ktoś zupełnie inny. Kto? To właśnie w tej chwili najbardziej interesuje kpt. Biernackiego.

Technik, który zdejmował odciski palców, pracuje gorączkowo. Po kilku godzinach są wyniki. Tylko na zegarku ze złotą bransoletą znaleziono jakieś obce odciski palców. Na wszystkich innych przedmiotach są tylko odciski Rawskiej. Odciski, które znaleziono na zegarku pokrywają się z odciskami palców znalezionymi na ręczce walizki, którą miała przy sobie zamordowana. Nie pokrywają się natomiast zupełnie z odciskami palców mieszkanców zakopiańskiego pensjonatu.

Nad ranem zjawia się porucznik Witkowski. Dozorca domu i jedna z sąsiadek widzieli jakiegoś mężczyznę, dłuższy czas kręcącego się w pobliżu. Rysopis przez nich podany są mniej więcej podobne. Jest w rysopisie pewna charakterystyczna rzecz. Mężczyzna jak gdyby leciutko utykał na nogę. Dozorca twierdzi, że człowieka tego widział już przedtem. Może to być ten człowiek, ale może być ktoś zupełnie inny. Oficerowie postanawiają jednak sprawdzić ten ślad.

Przez następne trzy dni trwa poszukiwanie wśród znajomych i ludzi, z którymi stykała się Rawska, mężczyzny, który odpowiadałby rysopisowi. Wreszcie jest. Inżynier Stefan Gruszecki. Był w czasie ostatniej wojny ranny w lewą nogę, na którą do dziś lekko utyka. Pozostałe szczegóły rysopisu również się pokrywają.

UPIORY WS

Nigdy nie wierzyłem w życie pozagrobowe — dlatego może świat starych grobów, cmentarzy i kurhanów wyobrażał mi się zawsze jako strefę bezwzględnej ciszy i spokoju. Odkąd jednak zacząłem interesować się archeologią i niekiedy zdarza mi się odwiedzać stare cmentarzyska — dochodzi mnie od nich zgiełk gniewnych głosów, widziałem jak z grobów powstają upiory, gotowe rzucić się na nas żywych i zadiawić aż do zupełnej zniszczenia...

ROZDZIAŁ IV

Weslory czy Vallox-Säby? — Byli czy nie byli? Zwyciężyli czy przegrali? — „Upiory” — Co sądził Tacyt?

Archeolodzy łódzcy już od trzech lat badają cmentarzysko w Weslorach. Pod usypiskiem z kamieni odnaleziono w kurhanach groby szkieletowe ułożone w pozycji skurczonej lub wyprostowanej, z głowami na północ. Groby kobiet były bogato wyposażone, męskie ubogie, w żadnym z grobów nie odnaleziono broni.

Wyróżnia się groby bez ceramiki, naczyń glinianych, które spotyka się w mogiłach słowiańskich. W zamian za to, odnaleziono dużo przedmiotów z brązu, filbu czyli agnata, szpilek, oszuste zapinki do naszyjników, srebrne wisioriki, bransolety, paciorki bursztynowe i szklane. Do jakiego ludu należą więc weslorskie cmentarzyska?

„Mgr Kmieciński pokazał mi ilustracje w książce napisanej po szwedzku.

— Ależ to fotografia cmentarzyska w Weslorach — zawołałem.

— Nie, redaktorze. To cmentarzysko w Vallox-Säby w południowej Skandynawii.

Książka ta nosi tytuł „Die Urhelmet der Götter”, a napisał ją Eric Graf Oxenstierna. Reprodukowane tam zdjęcie cmentarzyska gockiego w Vallox-Säby jest identyczne ze zdjęciem, jakie robiłam w Weslorach w pow. Kartuski. Jakby i tu i tam ten sam osnowy lespek i rozrzucone w trawie połamane glazy — stela kamienne tzw. „Bautastener”, pokrywające groby. I tu i tam w grobach tych odnaleziono podobne fibule, naszyjniki. I tu i tam są kręgi kamienne. I tu i tam groby szkieletowe nie zawierają broni. Tylko, że takich cmentarzy w południowej Skandynawii jest o wiele więcej niż u nas, i co ważniejsze, są one dawniejsze, starsze. Wniosek więc może być tylko jeden:

Cmentarzysko w Weslorach jest pozostałością po germańskim plemieniu Gotów, którzy na Pomorze przybyli ze Skandynawii. Kiedy to się stało?

Archeolodzy szwedzcy notują na podstawie swych badań, że w początkach naszej ery prowincja Västergötland w południowej Skandynawii prawie zupełnie opróżnia się z ludności. Archeolodzy polscy zauważają, że w tym samym mniej więcej czasie u ujścia Wisły — na obszarze „grupy oksywskiej” słowiańskiej „kultury grobów jamowych” — zjawia się oryginalna i zupełnie tu dotąd nie znana kultura, która poza charakterystycznymi formami wyrobów metalowych

wyróżnia się przede wszystkim zwyczajem grzebania zmarłych nie spalonych i niewkładaniem broni do grobów. Prawie każdy podręcznik archeologii zaznaczy w tym miejscu: „pojawienie się tej kultury wiąże z trześcią z najazdem germańskiego plemienia „Gotów”. Innymi słowy — nasi słowiańscy protoplaści palili ciała swych nieboszczków. Goci chowali nie spalonych. Goci przepłynęli morze i najechali Słowian — to po nich zostały groby szkieletowe. Groby szkieletowe na Pomorzu pojawia się wiele, coraz więcej — a więc Goci najechawszy Słowian, pobili ich i sobie podporządkowali”.

Taki pogląd dominuje w naszej nauce do tej pory. Pogląd wygodny dla wielu „słom”. Szowiniści niemieccy widzieli w nim jeszcze jeden powód germańskiej bitności i niezwyciężoności. Dla nich było oczywiste, że zjawili się nad Wisłą bitni Germanie museli podbić Słowian. Uczony Gogon Miller w swej pracy patronowanej przez hitlerowców pisał o „odkrywcach podróży Gotów”, których gnała „przebiegłość i żądza czynów (Tatendrang)”. Uczony niemiecki Schwarcz jeszcze w 1953 r. ujście Wisły nazywa „bazą wypadową” przedsięwzięcia Germanów i uśmieszcza tu przed najazdem Gotów germańskich Wandalów, Burgundów, Rugów, zapominając o drobności, o Słowianach...

Oto teoria-upiór, która powstała z mogił, aby rzucić się na nas żywych. Takie „teorie” wspierano zagami czołgów, drutami obozów koncentracyjnych, piecami krematoriów.

A polscy uczeni? Ci uzasadniają obecność Słowian na Pomorzu zgadzając się jednak na tezę o podbiću Słowian przez Gotów. A „nie byłoby to możliwe — jak pisał wybitny historyk K. Tymieniecki — gdyby nie panowanie w umysłach nieludzkich teorii o wiecznej niewoli Słowian i stał się ich nieszczęściem wobec Germanów. Teoria ta szerzyła się zarówno wśród Niemców, jak i Słowian, a tylko uczciwe zaburzenie przyjmowała odmienne w każdym wypadku”. W tej samej jednak pracy, ale nieco dalej K. Tymieniecki udowadnia, że na Pomorzu Gotów... w ogóle nigdy nie było.

Ot, i kłopot z Gotami. Byli czy nie byli? A jeśli byli — to czy jako zwycięzcy czy jako zwyciężeni?

K. Ptolomeusz, geograf aleksandryjski z II w. n.e. umiejscawia nad Morzem Bałtykiem słowiańskich Wenedów, Zatokę Gdańską nazywa Wenedzką — a przecież wtedy to czasów, gdy wedle nauki nad Bałtykiem panować winni Goci? Poprawiono więc Ptolomeusza.

Potem rzuciła go dla innego. Tych innych było zresztą wiele.

— Rawska bardzo jednak dbała — mówi Gruszecki — o to, aby nikt nie wiedział z kim żyje. Ale ja wiedziałem. Śledziłem ją. Miałem dorobiony klucz do jej skrytynki na listy. I czasem gdy wiedziałem, że nie ma jej w mieście, wyjmowałem listy, które po otwarciu, przeczytałem i zaklejeniu wrzucałem z powrotem do skrytynki. Wiedziałem o niej bardzo dużo rzeczy, które przegadła przed ludźmi akry.

Kochałem ją jednak bardzo i nie mogłem orestać jej kochać. Prosiłem ją, błagałem, aby do mnie wróciła. Odpowiedziały były drwiny i kpiny. Kiedy wyjechała do Zakopanego (numer jej skrytki pocztowej znalazłem z poprzednich lat) napisałem do niej list, że jeśli nie wróci do mnie, opowiem znajomym i przyjaciółom wszystko, co o niej wiem. Zrobię wszystko, aby ją zniszczyć. Zaraz potem napisałem drugi list. Umówiłem się z nią w kawiarni na Krupówkach. Musiałem się z nią rozmówić. Gdyśmy się spotkali, była przerażona. Bardzo się bała, abym nie zrobił skandalu. Z wyjątkową przesadą dbała o swą opinię.

Na spotkaniu zakomunikowała mi, że jeszcze dziś wraca do C. Po-

Był kiedyś kochankiem Rawskiej.

TAJĄ Z GROBÓW

I nawet wielki nasz archeolog, który całe swe życie poświęcił walce z niemieckimi teoriami i ma na tym polu nieocenione wprost zasługi, napisał: „Trzeba oczywiście przyjąć, że informacja ta (chodzi o Ptolomeusza — przypisek Z.N.) odnosi się do czasów przed najazdem Gotów, kiedy Wenedzi wiedli żywot niepodległy, a więc do ostat-



Wisiorok srebrny z kurhanu w Węstorach

niego wieku przed Chrystusem. Ale jednak Ptolomeusz pisał w prawie dwieście lat później? Czyżby rzeczywiście był aż tak nieskrupulatny?

„Nauka idzie wciąż naprzód. Jeszcze przed wojną badania K. Stojanowskiego zachwiały tezę, że groby szkieletowe na Pomorzu w pierwszych wiekach naszej ery — to groby najazdźców gockich. Okazało się bowiem, że groby szkieletowe znane są na Pomorzu jeszcze przed najazdem Gotów. Poza tym badania wykazały, że czaszki pomorskie mają skład środkowoeuropejski, a nie germański, jaki powinny mieć czaszki gockie.

Może więc raczej ma historyk Tymieniecki twierdząc, że Gotów na Pomorzu w ogóle nie było? A może należy przyjąć twierdzenie J. Kostrzewskiego: „... Ponieważ jednak archeologiczne dowody przemawiają za skandynawskim pochodzeniem części ludności pomorskiej w pierwszych wiekach n.e. należy chyba przyjąć, że tylko część ludności grzebiącej zmarłych nie spalonych reprezentuje przybywców ze Skandynawii i że ilość najazdźców była zbyt mała, żeby zawrócić na składzie rasowym ludności pomorskiej”.

Ilość najazdźców była więc mała. Stała wobec potężnego, jak wiemy, słowiańskiego ludu Wenedów. Na jakiej podstawie przyjęto tezę, że ta mała garstka zawołała potężny lud Wenedów?

Oczywiście teza taka ma uza-



Fibula brązowa

sadnienie tylko w naszych chyba fałszywych wyobrażeniach o Słowianach, jako o potulnych baranach zawsze dostających „lupnia” od Germanów, Słowianach, którzy grali na geślach i nie wiedzieli co to broń i walka. Nie zgodziłby się z nami historyk rzymski Tacyt z II w., który tak się przyjął bitnością słowiańskich Wenedów, że wahał się czy zaliczyć ich do Germanów, czy też Sarmatów. I pisał:

„Wenedowie ... w swych wyprawach łupieskich przebiegają wszystkie lasy i góry ... Budują stałe domy, noszą tarcze, lubują się w piesznych marszach i chyżości...”

Mała garstka Gotów, która na początku naszej ery przez Bałtyk przybyła nad dolną Wisłę, stanęła wobec potężnego ludu słowiańskich Wenedów, którzy nosili broń i tarcze, lubowali się w piesznych marszach i chyżości, czynili wyprawy łupieskie. Wątpliwe jest, czy takich Wenedów, jakich przedstawia nam Tacyt, byli Goci w stanie zawojuować.

A może stało się inaczej? Może to Wenedzi podbili i pochłonęli Gotów? I dlatego ślady ich pobytu u nas są tak słabo uchwytnie, pomieszczone z elementem słowiańskim, zagubione w żywiole Wenedów?

(dokończenie za tydzień)

ZBIGNIEW NOWICKI

Ukryte w ziemi stare groby, kamienne kurhany — a ileż zagadek kryją. Styszełście ten załatujący od nich zgilek polemik naukowych, widzieliście teorie — upiory, które

*) Pairsz reportaż w ubiegłym tygodniu pt. „Tajemnice grobów i kurhanów”.

**) Okazuje się zresztą, że i Goci stosowali obrządek pogrzebowy mieszany, także palili ciała zmarłych.



Oto przedmioty znalezione w grobach gockich w południowej Skandynawii. Porównajcie je z załączonymi w tekście przedmiotami znanymi w Polsce

EPILOG NIE ZUPEŁNIE NA TEMAT

Siedzę z kapitanem Biernackim i porucznikiem Witkowskim w małej kawiarence. Powoli sączy wino.

Kapitan uśmiecha się w sposób, który raczej przypomina grymas.

— Ot, taka to i historia — mówi. — Czort wie, czy Gruszecki kłamie czy mówi prawdę. Prościej jest powiedzieć, że kłamie. Ale nie ma na to stuprocentowych dowodów. Leżące, którzy robili sekcję zwłok i badali ranę wlotową przez którą wszedł pocisk, nie wykluczają możliwości przypadkowego strzału (strzał oddany był z bardzo małej odległości), ale też nie są w stanie stwierdzić tego na pewno.

Na rękojeści pistoletu są również odciski palców Rawskiej. Mogły powstać w czasie, gdy szamotała się z nim kiedyś chciała do niego strzelić, ale mogło też być tak jak mówi Gruszecki. Prokurator i sąd będą mieli twarde orzechy do zgryzienia.

A my? Cóż, sądzę, że w tej sprawie pomógł nam przypadek. Przypadek jest naszym częstym sojusznikiem. Występuje najczęściej w postaci błędów popełnionych przez przestępcę. A błąd? — W praktyce każdy przestępca popełnia jakiś błąd. Chodzi tylko o to, abyśmy my umieli go wykryć. Zresztą myśmy też byli w tej sprawie o krok od

poważnego błędu... W tej sprawie do dziś jest niewyjaśnione, skąd Gruszecki wziął pistolet? A może pistolet rzeczywiście należał do Rawskiej. Wtedy skąd ona go wzięła? Dlaczego miała go z sobą?

Taka to i nasza „psia służba”. Władamy ludziami „z kałozami” w dusze, w ich osobiste, intymne, często trudne, skomplikowane i bolesne, innym znów razem brudne sprawy.

Cóż, jeszcze jeden płaski melodramat skończony. Zresztą, bo ja wiem, może ludzka tragedia? Nam takie sprawy nie są przyjemne. Ale po to, żeby strzec ludzkiego życia i spokoju, przecież jesteśmy.

— Wiecie — wtrąca por. Witkowski — czasem wydaje mi się, że kiepskie filmy tym różnią się od dobrych, że kiepskie pokazują często życie takim jakie ono naprawdę jest. A jeśli chodzi o tamtą sprawę — to myśmy swoje już zrobili. Teraz to sprawa sądu i prokuratury. Dostaliśmy właśnie wiadomość, że powołano nam prowadzenie nowego śledztwa.

P. S. Ze względu na fakt, że sprawa nie została jeszcze rozpatrzona przez sąd, a także ze względu na szereg spraw osób postronnych, które musiałem z konieczności poruszyć — nazwiska podane w raporcie nie są prawdziwe.

MIECZYSLAW GÓRSKI



KALINKU

ZAWOLAŁA ARCY-
KSIĘŻNĄ ZUBER

STRESZCZENIE Z POPRZEDNICH NUMERÓW

W lesie grasuje zgraja złodziei. Na jej czele stoi tajemniczy śpiewak Czarny Matwiej. Szajka wymienionych wyrzutków społeczeństwa szykuje się na barona Caruso-Hydrargir. Czas dzielący ją od dalszych zbrodniczych czynów umila sobie śpiewaniem przeróżnych kupletów, arii i poplesiami baletowymi. Nie przeczuwający niczego baron, mistrz sztuki chirurgicznej, obzarł i uwodził dziewczęt w jednej osobie, uwiodłszy już margrabinę Selcerską, hrabiankę Morykonii, księżniczkę węgierską Zagrajcar, dobiera się do arcyksiężnej Zuberowej.

Powityszy okrzyk wydarł z ust arcyksiężnej, nie napór ekstazy miłosnej, lecz strach. W chwili gdy arcyksiężna sięgała jedną ręką po korbaczkę, drugą odpychała od swych ust usta Hydrargira, narzucono jej na głowę worek.

Nie będziemy zanudzać czytelnika ani arią „We worku” ani recitatiwem Hydrargira, wygłaszanym z drzewa, na które wdrapał się w ucieczce przed wyrastającymi jak spod ziemi złodziejami. Nadmieniamy, że złodziej strząsnął drzewo z barona, obezwładnił gojowego, towarzyszącego parze w charakterze ochrony i wrotnym krokiem zbliżył się ku finałowi, kończącemu operę złodziejską, operetkę, śpiewaną farsą czy jak kto woli nazwać tę monstrualną dramatyczną grafomanę.

HYDRARGIR:

Bo to jest cała moja psychologia, pan arcyksiężno, tiens.

ARCYKSIĘŻNA ZUBER:

Wuala! ... pamiętam podobny ton stosował pan pisząc o śpiewie Władysław Tremolo.

HYDRARGIR:

Jest pani dowiecipna, arcyksiężno... Ale czy nie uważa pani, że istotnie prześliczne są te walencjanki z bóż na te tak sutego sztafarsz kaskol?



ARCYKSIĘŻNA ZUBER:

Kaskole są dziś cudne jak lilie.

HYDRARGIR:

Znaczy to, że pogody będziemy mieli wspaniałe... Krowy będą dawać wiele mleka, bo dużo rzyca... Ale jaki mam bajeczny bób...

ARCYKSIĘŻNA ZUBER:

Piramidalnie bajeczny!... Imposand! Kolossal! Tres kolosalny... Ach! ach!!

HYDRARGIR:

Może przejrzymy drób...

ARCYKSIĘŻNA ZUBER:

(z majestatycznym chłodem wyzywającej hetery)...

(Tę część kwestii arcyksiężnej, wypowiedzianej po angielsku, nie podajemy ze względu zarówno na jej nieprzetłumaczalność na nasz język treść jak i jej niezwykle pieprzność, tak rażąca polskie uszy).

HYDRARGIR:

Atlasowe rączki masz, dziecino.

ARCYKSIĘŻNA ZUBER:

Ooohh!



SŁOWO WIAŻĄCE:

CZARNY MATWIEJ:

Teraz się zemszczę, zemszczę baronie, chirurgu i recenzencie! Teraz szatanom poślę twą duszę w arcykiepskim prezencie!... Zgłinesz, parszywy ty, coś mnie wywiódł na te złodziejskie manowce, coś sprawił, iżem wszystko wyprzedał, nawet Walerii deszczowce...

Ty coś gdym śpiewał w starej oberży arię „Na katarfalku” — zepsuł swym śmiechem jęk Rodrigueza z opery „Księża antyków”... coś się w operze stałe otaczał płacących klakierów zgraja, coś mi, gdym cłagnał w „Fauscie” górne „C” wrzucił do gardła jajo...

coś mi Walerię zabrał, ty lotrze, która kochała mnie skrycie, słuchając co noc mych pieśni pienia, wielbiąc mój śpiew ponad życie!...

(Odsłania maskę do połowy nosa) Było to w czasach górnych, bezchmurnych, gdy sława kubiłami się lala, dziś mego głosu nikt nie zamówi nawet za szklankę kakaa.

Przez ciebie przecież, podły baronie, zwiedziłem areszt, więzienie!... Czyż to nie tyś ty kazał podłożyć mi nogę na owę „Carmen”?

(Zakończenie w następnym numerze)



ZBIGNIEW NOWICKI

PRZYCZYNEK DO PRA-WSPÓŁISTNIENIA

Obozowisko łódzkiej ekspedycji wykopaliskowej w Węsiarach składa się z czterech małych i jednego dużego namiotu. Ekspedycja liczy oprócz kierownika jeszcze sześć studentek i studentów, kucharza oraz szesnastu robotników, Kaszubów. Niektórzy z nich, zatrudnieni już trzeci sezon wykopaliskowy — stali się swego rodzaju „fachowcami”. Ale największym archeologiem wśród „amatorów” — jest chyba kucharz, p. Wilk. Jego droga do archeologii — to temat naprawdę pasjonującej powieści.

Wilk ma już prawie 70 lat, siwą głowę i ujmująco szczera twarz. Chłop z łowickiego, podczas pierwszej wojny światowej jako żołnierz carskiej armii dostał się do niewoli niemieckiej i zatrudniony został przymusowo w Elblągu. Tu przypadkiem pracować zaczął przy prowadzonych przez Niemców wykopaliskach archeologicznych, okazał się inteligentniejszy i bardziej pojęty od innych — zaproponowano mu stałą pracę przy badaniach archeologicznych, a potem w elbląskim Muzeum. Pozostał więc w Elblągu, zdaje się założył rodzinę — nie lubi o tym opowiadać. Wojna niszczyła mu wszystko, co miał i co kochał. Pozostał sam, z całego swego dobytku ratując żeliwną „wafelnicę” do robienia ciastek. Objętość tej wafelnicy powędrowała pieszo w rodzinne strony, przypadkiem wędrowała do muzeum łódzkiego — prof. Jazdzewski zaproponował mu zajęcie. Jest Wilk jednym z najlepszych preparatorów zabytków w łódzkim Muzeum, a latem kucharzem ekspedycji archeologicznych. Gościem można słuchać jego wspomnień z przeróżnych wypraw naukowych niemieckich i polskich. Piękna, wspaniała postać — jakże troszczy się o każdego studenta, czy zjadł, czy nie jest głodny.

Niekiedy opadają go wspomnienia. Wówczas staje się smutny, ponury, trzęsąc siwą głową mówi: „Wojna trzy razy niszczyła mi wszystko. Za stary jestem żeby zacząć żyć od nowa...”. W takich chwilach nawet archeologia nie zadręcza w jego oczach uznania: „Po co ruszać tych biednych nieboszczyków?”

A jakże ich nie ruszać, jakże nie rozkopywać tych kurhanów, skoro odsłaniają tak trapiące tajemnice?

Rozdział V

Piękna Amalasunta — „Gothiscandza” i „Gepedolos”. — Czy Goci byli „herrenvolkiem”? — Koegzystencja, czy zależność?

W 214 roku cesarz rzymski Carakalla zetknął się z watahami germańskiego plemienia Gotów przybyłych nad Morze Czarne i Dunaj — „i gdy on ciągnął na wschód, w naprędcie rozegranych bitwach Gotów zwyciężał”, jak zapisano w źródłach rzymskich. Ojczyzną Gotów była jednak po-

łudniowa Skandynawia. Jakże się to stało, że nagle znaleźli się oni nad Morzem Czarnym? Którędy tam dotarli i kiedy wywędrowali ze swej ojczyzny? — oto pytania, które od dawna trapią wielu uczonych na całym świecie. Bo Goci to nie jakieś tam jedno z wielu licznych germańskich plemion. To lud, który „w późniejszych latach zrobił zawrotną karierę polityczną w Europie”, jak to określił nasz wybitny historyk K. Tymieniecki.

Nad Morzem Czarnym zbudowali Goci potężne państwo Ostrogotów i Wizygotów, pod wodzą Alaryka złupili Ateny, Korynt, Rzym, pod wodzą Teodoryka Wielkiego opanowali Italię. Napisano o nich wiele książek, że wspomnę tu niedawno u nas wydaną powieść Hanni Malewskiej „Tak miła postać świata”. Pisarzy intrzygowały historie o królów Gockiej, przepięknej Amalasundzie i jej zdegenerowanym synu Atalaryku, o jej krewnym i współkrólu Teodohadzie, o mądrym Kassiodorze, ministrze ostrogockiego króla Teodoryka. Tenże Kassiodor w latach 526—533 na rozkaz swego władcy napisał „Historie Gotów”, niestety — jak mówią historycy — „zachowana tylko w nędznym wyciągu”, sporządzonym w 551 roku przez Jordanesa, mnicha i Gota z pochodzenia, który gdy Ostrogoci zeszli z areny politycznej świata, zaprzagnął pamięć o nich ocalić na kartkach swej książki, noszącej tytuł: „De origine actibusque Gotarum”.

„W swej „Historii Gotów” opowiada Jordanes w legendarnej formie, że pod wodzą króla Bericha przybyli Goci ze Skandynawii drogą morską na trzech okrętach i wylądowali na wybrzeżu, które nazwane przez nich zostało „Gothiscandza”. A było to ni mniej ni więcej tylko nasze wybrzeże Bałtyku. Jak pisał Jordanes — „na wyspie, którą tworzy delta Wisły osiadł szereg gocki Gepidów i nazwał ją Gepedolos”. Stało się to chyba gdzieś na początku naszej ery, a w każdym razie na krótko przed jej początkiem.

Kogo napotkali Goci u ujścia Wisły i jak się potoczyli ich dalsze koleje? Pisałem już w poprzednich artykułach („Tajemnice grobów i kurhanów”, „Upiory wstają z grobów”) o kilku istniejących na ten temat teoriach. Jedną z nich głosi, że Goci najechawszy ujście Wisły podbili zamieszkujących Pomorze Słowian-Wenetów.

Ale już historyk K. Tymieniecki każe powątpiewać o tej tradycyjnej zresztą teorii pisząc:

„Nasuwa się jednak pytanie, czy Goci, będący jeszcze niemal w politycznych „pieluszkach”, mogli w I lub II wieku n. e. myśleć o roli pewnego rodzaju „herrenvolku” na niezmiernych obszarach słowiańskiego wschodu? Sytuacja ogólna tych ludów, wciąż nie zachęca do popierania tak bardzo ryzykownej hipotezy, tym bardziej, że tychże Wenedów

z I w. tenże wielokrotnie cytowany Tacyt charakteryzował wprost w swym słynnym 46 rozdziale „Germanii”, jako ludy wojownicze i niespokojne”.

Również i Ptolomeusz, geograf z II w. umieszcza nad Bałtykiem „potężny lud Wenedów”. Gotów zaś nad Wisłą charakteryzuje jako lud mały. W jaki więc sposób ten mały lud Gotów, stanowiący wobec potężnego ludu słowiańskiego Wenedów wojowniczych i niespokojnych, mógł ich zwyciężyć i sobie podporządkować?

Archeolog łódzki mgr Jerzy Kmiecinski, który od trzech lat bada cmentarzysko gockie w Węsiarach, a od dłuższego czasu interesuje się „sprawą gocką”, posiada już szereg przekonujących dowodów, moim zdaniem, dowodów dla przedstawienia zupełnie nowej, a i bardzo odważnej hipotezy.

Goci, którzy najechali dolną Wisłę, wdali się z Wenedami w długą i wyczerpującą obydwie strony walkę. Jaki był jej wynik? Trudno odpowiedzieć. W gruncie rzeczy nie ma żadnych zdecydowanych danych, aby orzec stanowczo, która ze stron okazała się zwycięską. Być może żadna, być może jednak zwyciężyli Słowianie, podporządkowując sobie Gotów w łagodnych, przeciw formach patriarchalnego niewolnictwa.

Zapewne do tego faktu odnosi się zdanie z Tacytowej „Germanii”: „Mieszkający za Lugiami Gotowie rządzeni są przez królów, i to już nieco surowiej niż reszta ludów germańskich...”.

Czy ta forma „surowości” nie wynika z faktu podporządkowania Gotów Słowionom?...

Nie zostali zwycięzcami Goci, bo nie potrafili oni narzucić Słowionom swych obrządków i swej kultury, przeciwnie — to obrządki Gotów zdają się rozprzyskać w żywiole słowiańskim. Jedno jest pewne: trwały walki i to bardzo wyczerpujące, co wyraża się w pewnego rodzaju upadku kulturalnym, zarówno przybyłych Gotów, jak i Wenedów. Świadczy o tym fakcie również i dane cyfrowe.

Najeźdźcy goocy przybyli z prowincji szwedzkiej Västergötland, która w owym czasie prawie całkowicie opróżniła się z ludności. Tymczasem archeologowie zauważają, że na Pomorzu, dokąd przybyli Goci — ludności nie tylko nie przybywa, ale przeciwnie, śladów z osadnictwa jest coraz mniej. O ile z okresu przed najazdem Gotów znanych jest archeologom 118 tzw. „stanowisk”, to z okresu po przybyciu Gotów — tylko 81 stanowisk. Spora część ludności prawdopodobnie wyniszczyła się w długich i ciężkich walkach.

Ilość stanowisk archeologicznych wzrasta natomiast w okresie środkowo-rzymskim — jest ich aż 206. Otóż w tym czasie, gdzieś w połowie II wieku n. e. wydaje się, że przybywa na Pomorze nowa fala Gotów. Tym razem przybywają oni z prowincji Ostergötland i z wysp Öland i Götland. Osiedlają się oni na Pomorzu, jak by na no-

wych i raczej pokojowych warunkach. Jak pisze mgr Jerzy Kmiecinski w jednym ze swych artykułów:

„Trudno powiedzieć w jaki sposób ukladalo się współzycie dwóch grup etnicznych w tym drugim rozdziale epopei gockiej na południowym wybrzeżu Bałtyku... Goci nie byli w sytuacji specjalnie korzystnej. Świadczy o tym może fakt, iż cmentarzyska kurhanowe ze stelami, które uważa się za prawie wyłącznie gockie — rozłożone są przeważnie na glebach złych, terenach żwirowatej moreny czołowej i sandrach, w przeciwieństwie do urodzajnych polaci kraju (np. wschodni brzeg dolnej Wisły), zajętych przez żywioł słowiański. Ciekawy jest także fakt, że tereny, na których najczęściej spotyka się cmentarzyska ze stelami, były w okresie lateńskim i wczesno-rzymskim w zasadzie anekumena. (Były niezamieszkałe — przyp. Z. N.). Wydaje się, że stosunki między Gotami i Słowionomi w środkowym okresie rzymskim na Pomorzu Wschodnim przypominać będą raczej koegzystencję niż zależność”.

Innymi słowy: na ziemiach najżyźniejszych, w takich powiatach jak Chelmino, Kwidzyn, Malbork, Sztum — w sposób nieprzerwany zamieszkują Słowianie. Obok nich jednak na glebach ubogich lub niezamieszkałych osiedlają się Goci przybyli z Ostergötland. Nie są oni chyba zwycięzcami skądś wolać zadowolić się gorzej, ułożymy?

Z tego też czasu odnaleziono baniasie naczyń dwu lub trzyżebne z wygłazonymi trójkątami na chropawym brzoścu. Stanowią one jak by skrzyżowanie dwóch elementów kulturowych — miejscowego (słowiańskiego) i gockiego. Podobne „krzyżówki” możliwe są raczej wówczas, gdy dwa różne ludy pozostają w stosunkach pokojowych. ...Z tego samego okresu pochodzą cmentarzyska gockie ze stelami i kurhanami w Węsiarach, gdzie przebywała łódzka ekspedycja wykopaliskowa.

Rozdział VI

„Dmarringarna” i „Thing” — jak wyglądał Goci? — Uczymy się od nich stosunku do kobiet!

Spójrzcie uważnie na to długie zdjęcie. Przedstawia ono fragment węgierskiego cmentarzyska. Widać połowę „kamiennego kręgu” ułożonego z głazów, a poza kręgiem „stela” — długie głazy pokrywające groby. Z prawej strony uwidacznia się kurhan ze stelą. Popracujmy wyobraźnię, spróbujmy ożywić to stare cmentarzysko.

Te „kamiennie kręgi” nazywa się w Szwecji „Dmarringarna” czyli kręgami sędziowskimi. W starożytności, a także we wczesnym średniowieczu znany był u ludów germańskich, a zwłaszcza Gotów zwyczaj dokonywania zgromadzeń rodowych lub plemiennych, zwolanych co pewien określony czas celem odbycia sądu tzw. „Thing”. W tym oto kamiennym kole prawdopodobnie zasiadała rada sędziow-

ska, zaś braci rodowej nie wolno było przekraczać granicy zaznaczonej kamieniami. Uchwały rady sędziowskiej poparte były autorytetem zmarłych, których pochowano obok kręgu lub zewnątrz kręgu, bo i takie wypadki są znane archeologom. Być może także w owych kręgach odbywały się i obrzędy religijne związane z rozpowszechnionym wśród germańskich kultem przodków, o czym świadczą znajdowane wewnątrz kręgów fragmenty, prawdopodobnie rytualnie rozbitych naczyń.

Wywędrowali Goci ze Skandynawii, wypędzeni być może prześludnieniem i nieurodzajem, ubogą skalistą ziemią. Przebywali na Pomorzu Wschodnim chyba niewiele ponad 200 lat i to w dwóch fazach. Cmentarzysko w Węsiarach, jak stwierdza się na podstawie wyposażenia grobów, powstało w połowie II wieku i trwało około 70 lat. Na początku III wieku przestano tu chować zmarłych w grobach ze stelami. W 214 roku spotkał Gotów cesarz Carakalla — daleko od Węsiarach i Pomorza Wschodniego — nad Morzem Czarnym, nad Dunajem. Wygnali ich stąd chciwość, żądza dostatku i bogactw, napływające wiadomości o leżących daleko na południu bogactwach, żywnych krajinach. Załadowali na wozy cały swój dobytek, dzieci i żony i osiedlając się zastępnymi zbrojnymi — wyruszyli pod wodzą króla Filimer, syna Gandaryka, kierując się ku ziemi zwanej Oium, co oznacza kraj podmokły, zapewne błota polskie. Przedostawszy się przez bagna i pokonawszy Spławów dotarli nad Morze Czarne, gdzie zaczął się nowy, wspaniały rozdział ich epopei.

* * *

„Obudziłem się zły i smutny, z gardłem ściśniętym strachem. Na płótnie namiotu delikatnie szemrał rzadki deszcz. Gdzieś od kurhanów, od cmentarzyska dochodził mnie głuchy jęk. Wyobraźnia pobudzona nie zakończonym jeszcze snem, przywoływała obrazy jakiegoś straszliwego sądu, odbywającego się w kamiennym kręgu wśród kurhanów. Wydało mi się, że wyraźnie widzę owego germańskiego boga Tiusa, jednorożkowego męża, trzymającego miecz, którym zwalcza siły ciemności; obok był jednooki Wodan lub Odyn, bóg powietrza i wiatru. Przewodził wędrującym w powietrzu duchom zmarłych, prowadząc je do Walhalli, raju w niedostępnych jaskiniach górskich. Głuchy jęk kojarzył się w wyobraźni z tętentem pędzących Walkiri...”

Wyszedłem z namiotu. I... zrozumiałem. To stary Wilk przeżywał w nim jakieś swe ciężkie wspomnienia, pojękując w swym namiocie. Rankiem, gdy biegałem nad jezioro, aby się umyć, spostrzyłem dwa dzikie białe labędzie. Ich ciężkie skrzydła przecinały powietrze ze światem jak wielki miecz.